

Biegli - sędziowskie alibi

Żeby zostać sędzią, należy skończyć studia prawnicze, obronić tytuł magistra, zdać egzamin na aplikację ogólną, następnie odbyć aplikację sędziowską, a po stażach na stanowiskach asystenta sędziowskiego i referendarza sądowego zdać egzamin sędziowski. Oficjalne powołanie na dożywotni urząd sędziego otrzymuje się z rąk prezydenta RP. Tyle formalne wymagania, uzupełnione takimi oczywistościami jak brak karalności, polskie obywatelstwo, nieposzlakowana opinia. Aż tyle i tylko tyle. Wyuczony prawa sędzia ma orzekać zgodnie z własnym sumieniem, wiedzą i doświadczeniem życiowym, a podlegać jedynie literze prawa. Nie jest łatwo zostać sędzią, ale chyba jeszcze trudniej być sędzią sprawiedliwym.

Co robi sędzia, który poświęcił długie, młode lata życia na studiowanie paragrafów, gdy przyjdzie mu zetknąć się z materia, o której nie ma zielonego pojęcia. Tym bardziej że na studiach nie poznał nawet w zarysie takich nauk jak pedagogika, psychologia, filozofia, teologia, nie mówiąc o etyce i moralności? Powołuje biegłego, specjalistę, który na koszt podatnika sporządza opinię wspomagającą wydanie wyroku i jego uzasadnienie.

Ks. abp Sławoj Leszek Głódź w wywiadzie dla „Naszego Dziennika” zapowiedział wniesienie do rządu zapytania, na jakich zasadach dobierani są przez prokuraturę i sądy biegli. Bo to ich opinie przesądziły o umorzeniu śledztw: w sprawie znieważenia krzyża przez oklejenie go puszkami po piwie Lech,

umieszczenia na krzyżu pluszowego misia, znieważenia uczestników modlitw pod krzyżem na Krakowskim Przedmieściu. To biegli zdecydowali o odstąpieniu przez sąd od ukarania pseudoartystki za jej „instalację”, którą stanowiły fotografie genitaliów na krzyżu, oraz satanisty drącego Biblię i obrażającego uczucia religijne katolików.

W pytaniu o biegłych sądowych i prokuratorskich zawiera się troska o prawdziwą niezależność sędziowską, w tym o kondycję ich sumienia, ale również chęć poznania źródeł wiedzy, na którą powołują się biegli, tej wiedzy, która ma wpływ na ferowane przez sądy wyroki. Jeżeli satanista celebryta telewizyjny pozostaje bezkarny dzięki opinii biegłego religioznawcy, to obywatele powinni wiedzieć, jak się biegły nazywa, na jakiej uczelni zdobywał swoją wiedzę, kto i dlaczego wpisał go listę opłacanych biegłych. Jeżeli biegły prokuratury i sądu uważa, że nazwanie prezydenta Lecha Kaczyńskiego „chamem” przez Janusza Palikota nie jest przestępstwem znieważenia najwyższego w RP urzędu, tylko realizacją wolności słowa, a inny z kolei biegły tak podpowiada sądowi, że student Karol Litwin za użyte sformułowania „ćwok”, „prostak”, „medialna dziwka” pod adresem Donalda Tuska zostaje skazany przez sąd w Kielcach na 8 miesięcy ograniczenia wolności, to mamy dziś obowiązek pytać o nazwiska biegłych i o zasady etyki zawodowej, jakimi się oni kierują. W obu ostatnich przypadkach biegli językoznawcy robią sobie z sądu kpiny. Najpierw biegły (będący, tak się składa,

medialnym celebrytą) prof. Jerzy Bralczyk udowadnia, że określenie „uważam za chama” nie jest tym samym, co nazwanie kogoś „chamem”, a potem arbitralnie stwierdza, że słowo to nie jest już dziś w Polsce zniewagą, a ocena zależy od kontekstu sytuacyjnego. Drugi biegły, ten z Kielc, co prawda dał sądowi podstawę do ukarania za znieważające organ konstytucyjny słowa, ale zupełnie pominął, a za nim sąd, inne – mianowicie porównanie Donalda Tuska do Józefa Goebbelsa, a prezydenta Bronisława Komorowskiego do analfabety.

Gdzie tu sens i logika. Czy nie ginie w ten sposób dość klarowna przecież litera prawa, gdy własne sumienie, wiedzę i doświadczenie życiowe, szczególnie w sprawach światopoglądowych, próbuje się zastąpić bezpieczną, bo cudzą, opinią biegłego. Sędziowie czują się bezradni, czy tylko szukają dla siebie wygodnego alibi?

Wojciech Reszczyński

Autor jest komentatorem w Programie 3 Polskiego Radia SA

254Nasz Dziennik 22.09.11